

## **Magiczny czas w magicznym mieście**

Życie osoby niepełnosprawnej jest pełne ograniczeń. Nie zawsze jest ono łatwe. Często napotyka ona różne trudności i to w tak prostych, codziennych sprawach jak na przykład samodzielnie poruszanie się. Wysokie krawężniki czy brak sygnalizacji dźwiękowej utrudniają jej pełne funkcjonowanie w społeczeństwie.

W Krakowie - dawnej stolicy Polski - mieście, w którym odbywa się wiele imprez kulturalnych, na Rynku Głównym, pośród Sukiennic, od 6 lat ma miejsce magiczny Festiwal Zaczarowanej Piosenki. Jest on niezwykle, ponieważ biorą w nim udział osoby z różnym typem niepełnosprawności. Wszyscy są traktowani tak samo. Dla jury liczy się: głos, osobowość sceniczna i talent, a nie stopień kalectwa. Dzięki temu uczestnicy nie mają poczucia, że ktoś się nad nimi lituje. Finaliści tego festiwalu mogą wystąpić u boku największych sław polskiej sceny muzycznej, co dla nich jest niesamowitym przeżyciem.

Tegoroczne finały Festiwalu Zaczarowanej Piosenki odbyły się 12 czerwca. Pierwszy raz od sześciu lat miałam okazję uczestniczyć w nich i przysłuchiwać się zaczarowanym ptaszkom, jak nazywani są finaliści. To był przedsmak moich wakacji, które miały rozpocząć się za równe dwa tygodnie.

Do Krakowa przyjechałam wraz z mamą w czwartek, późnym popołudniem. Do dawnej stolicy Polski wybrałyśmy się tak wcześnie, bo cały piątek postanowiłyśmy poświęcić na jej zwiedzanie. Zmęczone podróżą, zakwaterowałyśmy się w hotelu tuż przy Rynku. Z okna roztaczał się niesamowity widok. Granatowe niebo zlewało się z ciemnożółtym światłem ulicznych latarni. Wydobywało ono z mroku fragmenty kamieniczek, sukiennic, zabytkowych kościołów. Nic dziwnego, że to właśnie w tym mieście odbywa się Zaczarowany Festiwal. Będąc tu, można poczuć się jak w świecie baśni, w którym życie płynie łagodnym torem.

Następnego dnia z rana ze snu wyrwał mnie donośny dźwięk melodii hejnału granego ze szczytu Wieży Mariackiej. Zerwałam się na równe nogi i popędziłam na śniadanie, bo byłam głodna wrażeń.

Za pierwszy cel obrałyśmy sobie Bazylikę Mariacką - gotycką, ceglana budowlę, koloru czekoladowego z ogromnymi półokrągłymi równo wykutymi oknami. Niesamowite wrażenie zrobiła na mnie wielkość owego kościoła. Musiałam zadzierać głowę, by zobaczyć jego strzeliste wieże. Świątynia słynie z przepięknego ołtarza - dzieła Wita Stwosza - wykonanego ze złocistych rzeźb, które doskonale kontrastują z

ciemnoniebieskim tłem ścian, dodającym im pewnej niezwykłości. Dzięki swojej czarnej lunecie mogłam dostrzec dokładnie wygląd figur, które sprawiały wrażenie żywych. Wśród rzeźb wyróżniałam postacie Najświętszej Maryi Panny, św. Piotra trzymającego w rękach modlitewnik, św. Jana ocierającego płaszczem płynącą po policzku łzę, innych apostołów, rycerzy i krakowskich mieszczan.

Następnie nasze kroki skierowałyśmy pod kościół św. Wojciecha. To biała kamienna budowla o wiele mniejsza od bazyliki, ponieważ powstała od niej znacznie wcześniej. Przypominała kościoły Wiecznego Miasta, a to za sprawą zielonej kopuły przypominającej zimową czapkę okrywającą głowę.

Z Rynku spacerkiem przez planty, piękny miejski zielony park powstały na miejscu wyburzonych miejskich murów obronnych, udałyśmy się w stronę Wawelu - wzgórza - na którym stoi Zamek Królewski - siedziba największych królów Polski. Poza zamkiem na Wzgórzu znajduje się Katedra pełna wspomnień o latach, w których Polska była mocarstwem i liczone się z nią w Europie.

To był ostatni zabytek przewidziany na piątkowy dzień.

W drodze powrotnej zajrzałyśmy do Smoczej Jamy, w której zgodnie z legendą ukrywał się ognisty smok pożerający księżniczki. Jak wiadomo pokonał go dzielny Szweczyk Dratewka. Dziś przed Jamą stoi pomnik smoka, który co kilka minut bucha czerwonożółtymi płomieniami. Oszło mi ten widok, bo nie każdy pomnik zionie ogniem.

W końcu nadszedł ten wyczekiwany magiczny dzień. (Ze względu na występ niezwykłych ptaszków, które są wyjątkowe, bo nie potrafią latać, ale za to doskonale czarują swoim śpiewem).

Już od samego rana odczuwało się podniosłą atmosferę. Ze wszystkich stron dobiegały dźwięki strojonych instrumentów, rozśpiewki, a także próby wokalne. Jednym słowem maleńki przedsmak tego, co miało wydarzyć się tu w godzinach popołudniowych.

Czekając, na rozpoczęcie imprezy, przechadzałam się uliczkami i obserwowałam, co się na nich dzieje. Wędrowało nimi wielu spacerowiczów, wśród nich dostrzegłam kilku znanych artystów, którzy mieli wspierać finalistów. Wszyscy zachowywali się wobec siebie życzliwie, robili pamiątkowe zdjęcia, zbierali autografy do swoich kolekcji.

Po Rynku kręciło się wiele osób, które brały udział w poprzednich edycjach festiwalu. Przybyły tu, aby dopingować swoich kolegów. Doskonale wiedziały one, jakie

emocje niesie ze sobą występ na prawdziwej scenie, przed tak licznie zgromadzoną publicznością, przed kamerami telewizji polskiej mającej transmitować to wydarzenie w TVP2 oraz TVP Polonia.

- Jestem tu już szósty raz - mówi Karolina laureatka III edycji Zaczarowanej Piosenki. - Trzy razy udało mi się uczestniczyć w finałach trzech pierwszych edycji. W 2007 roku piosenką „Śpij, bajki śnij” i piosenką wyśpiewaną w duecie z Kasią Nosowską pt. „Teksański” wywalczyłam I miejsce. Myślę, że publiczność jest wspaniała i to ona dodaje nam finalistom pewności, odgania treść.

Karolina ma już siedemnaście lat, niewiele się zmieniła od tamtego czasu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ją w telewizji. Wtedy wyglądała jak maleńka wróżka ubrana w różową sukienkę z rozpuszczonymi włosami. Tak, za sprawą swoich zdolności wokalnych zrobiła na mnie duże wrażenie. Karolina jest taka malutka i taka słodka, i zawsze uśmiechnięta, ma w sobie tyle radości życia promieniującej z niej na otoczenie. Mogłam się o tym przekonać, rozmawiając z nią przez kilka minut.

Tuż przed piętnastą Rynek powoli zapełniał się widzami, jednym słowem zaczęło robić się tłoczno. Miejsca przy scenie zostały przeznaczone dla VIP-ów, czyli uczestników poprzednich edycji i podopiecznych fundacji „Mimo Wszystko”, więc stanęłam troszkę dalej. Aby widzieć, co dzieje się na scenie, wzięłam specjalnie na tę okazję czarną lunetę.

Punktualnie o piętnastej ze sceny stojącej pod ratuszem popłynęła zaczarowana melodia, a mianowicie piosenka festiwalowa „Asa tatarasa” grana przez zespół „Kameleon”. Wszyscy włączyli się do wspólnego śpiewania i klaskania.

Następnie na scenie pojawiła się Anna Dymna - inicjatorka a zarazem prowadząca festiwal. Towarzyszyli jej Cezary Kosiński, Zbigniew Zamachowski oraz jego córka Bronia. Chwilę później na scenie pojawiła się Irena Santor -honorowa patronka tego festiwalu – oraz jurorzy trzymający w rękach klatki z gołębiami. Pani Santor wypowiedziała następujące słowa: „Niech piosenka, jak te ptaki, poszybuje w przestworza, niech uwolni w nas radość, obali wszelkie bariery, da nam nowe siły i rozjaśni nasz świat”. Dokonała w ten sposób otwarcia VI festiwalu. A gołębie poleciały radośnie trzepocząc skrzydłami, hen wysoko w pierzaste obłoki. Teraz z góry spoglądały na pełen rynek i przysłuchiwały się finalistom.

Zaczarowany śpiew płynął raz łagodnie raz żywiołowo w najodleglejsze zakątki Rynku. Finałowe piosenki płynęły też przez moje serce. Szczególną uwagę zwróciłam na

występ Klaudii Borczyk. Ta szesnastoletnia dziewczyna miała świetny kontakt z publicznością. A na scenie wyglądała jak prawdziwa gwiazda ubrana w długą barwną suknię przypominającą mi wiosenną łąkę pełną życia i kwiatów. Od dziewczyny bił najprawdziwszy blask.

W pewnej chwili na Rynku pojawili się goście z Czech - Lucas Tran i Sara Kaliasova zwycięscy drugiego festiwalu Zaczarowanej Piosenki. Podczas obrad jury, by wypełnić chwile oczekiwania na werdykt zaśpiewali po jednym utworze.

Można powiedzieć, że festiwal zdobywa zasięg europejski. A to za sprawą rozgłosu medialnego niezbędnego w dzisiejszych czasach. Cieszę się, że spłynęła na mnie ta mała część magii. I że mogłam być tam i czuć, jak świat przez chwilę staje się taki kolorowy, pełen blasku i radości.